

Z PIEŚNI LUDOWYCH

SARNECZKA

Gdy noc, gdy tuman łąki zaciemi,
Gdy głucho w borze — na bór, na łąki
Biegą jelenie, biegą jelonki,
Pasa się, bawia, kąpią do świtu.
Jedna sarnecka nie bawi z niemi,
W krzakach, w sitowiu samotna żyje,
Sypia na nagiej piersi granitu,
Szelest ją własny, cień trwoży własny,
A gdy spragniona znajdzie zdrój jasny,
Pierwej go zmaci, a potem pije.

Pyta ją słońce pewnego świtu:
«Co tobie? powiedz, moja sarnecko,
Czemu, gdy stado igra nad rzeczką
Albo się w upał położy w chłodzie,
Ty spisz na nagiej piersi granitu,

Ty w ciemnej rada mieszkaś dąbrowie?
Czemu, sarnecko, ni mię o wschodzie,
Ni o zachodzie nigdy nie witasz?»
— «O, moje słońce! ponieważ pytasz,
Biedna sarnecka tobie odpowie:

Dwanaście latek żyłam bezdzietna,
Bóg mi dał synka w trzynastym roku,
Strzegłam go jako źrenicę w oku,
Tak mi rósł prosto, pięknie — aż oto
Raz wybiegł igrać, gdzie łączka kwietna,
I, ach! od złego poległ oręza.
Bodajbyś umarł, strzelcze niecnoto,
Bodaj rzemiosło twoje umarło,
Co mi jedyną rozkosz wydarło,
Co mi wydarło syna i męża!»

Tłum. Aleksander Chodźko.

ZAMEK OREI

Widziałem wiele zamków
Śród życia mych kolei,
Lecz najpiękniejszy zamek —
Toć zamek był Orei.

Czterdzieści wieź on dźwiga,
I wszystkie złotem strojne,
I drugich ma z żelaza
Czterdzieści wieź na wojnę.

Leżeli Turcy pod nim
Dwanaście lat z kolei,
Lecz stoi niezdoły
Wciąż zamek ten Orei.

I przyszedł podły Turczyn,
Pies przyszedł Ikonjota —
Przed królem staje zgięty
I takie słowa miota:

«O królu wszechpotężny,
Co dasz za nieboraka?»

— Dam tysiąc ci florenów,
Pysznego dam rumaka,

A nadto dam dwie szable,
Co w srebrnej lśni ozdobie.
«Ja nie chcę twych florenów,
Swe złoto schowaj sobie,

Pogardzam twym rumakiem
I mieczem srebrem tkanym —
A tylko chcę dziewicy,
Co mieszka w zamku szklanym».

— Jeśli się mury zamku
Przed tobą nie ostoją,
Gdy weźmiesz szklany zamek,
Dziewica będzie twoją. —

Więc mnicha bierze odzież
Ów Turczyn Ikonjota
I, klęcząc — z płaczem — z jękiem —
W zamkowe bije wrota.

«Ach, otwórz mi, Orejo,
Co patrzysz tam zwysoka,
Ach, otwórz wrota zamku,
Królowno czarnooka!»

— Idź precz, idź precz, psie nędzny —
Tyś Turczyn Ikonjota!
Czy chcesz, by ci przyniosła
Śmierć — strzała moja złota?

«Na Świętą knę się Pannę,
Na krzyża knę się wota:
Jam nie jest ten, co sądzisz —
Nie Turczyn Ikonjota!

Jam mnich, z klasztoru idę —
Noc całą szedłem ciemną —
I z głodu już umieram —
Ulituj się nade mną!»

— A więc mu dajcie chleba
I niechaj idzie z Bogiem!
«O, puśćcież i do cerkwi —
Jak mi to będzie błogiem!

Ach, otwórz mi, Orejo,
Co patrzysz tam zwysoka,
Ach, otwórz wrota zamku,
Królowno czarnooka!»

— Otwórzcie mu więc wrota,
Niech spocznie na podwórzu.
«O, pani — odzież moja
W łachmanach jest i w kurzu».

— Hej, słudzy! w miech go rzućcie,
Niech pozna tam katusze.
«O, pani, nie czyni tego,
Niech w worku się nie duszę».

Przez wrota wpół otwarte
Wnet Turków wpada tłuszczą,
Plondrować złote skrzynie
Po zamku wnet się puszcza.

On tylko do Orei,
On tylko śpieszy do niej,
Lecz ta go pchnęła w morze —
I zginął w morskiej toni.

NOCNA PODRÓŻ

Matko, dziewięciu miałaś synów
I jedną córkę miałaś;
Kapałaś ją w wieczornym blasku,
A rankiem włos czesałaś.

I sznurowałaś ją, gdy miesiąc
Lśnił w ciszy nieboskłonu.
I przyszedł poseł po twą córę
Aż zdala — z Babilonu.

«Matko, daj wziąć na obcą ziemię
Aretę swą kochaną!
Jam z tak dalekich przybył krain,
By prosić o jej wiano».

— Czy ty masz rozum, Konstantynie,
Czy też ci drwieć kto radzi?
Gdy przyjdzie na mnie ból lub radość,
Któż córkę mi sprowadzi? —

A on się knie na Boga — świętych,
Że wiary jej nie zdradzi;
Gdy przyjdzie na nią ból lub radość,
Wnet córkę jej sprowadzi.

Matko! zły rok na ciebie przyszedł,
Padło twych dziewięć synów —
I dawność lała gorzkie lzy
Na grób — na Konstantynów:

— O, Konstantynie — wstań, o, wstań,
Aretę moją sprowadź!
Na Boga — świętych tyś się kłął,
Że wiary chcesz dochować,

Gdy przyjdzie na mnie ból i nagle
Mą radość wszelką zgładzi,
Że ujrzę córkę mą — a dziś
Któż córkę mi sprowadzi? —

I gdy północy przyszedł czas,
On spełnić szedł swe losy.
I ujrzał ją: przy blasku pełni
Czesala krucze włosy.

— Chodź, chodź, Areto! Matka twa
Chce córkę swą obaczyć!
«Ach, cóż ode mnie chce w tej porze,
Ach, cóż to może znaczyć?»

Gdy radość błysła w domu jej,
Wnet swe manele kładę;
Gdy boleść w domu jej, o bracie,
Wnet tak jak stoję — jadę.

— Ni ból, ni radość w domu matki,
Lecz pójdz co prędzej z celi. —
I na tej drodze, gdzie jechali,
Na drodze, gdzie ciągnęli,

Słyszą, jak ptaki im śpiewają,
 Jak mówią — słyszą bładzi:
 «O, patrzcie, jedzie piękne dziewczę,
 A dziewczę trup prowadził!»

«Czy słyszysz, miły Konstantynie,
 Co ptaki nam gadają?»
 — Niechaj, co chcą, gadają ptaki,
 Niechaj, co chcą — śpiewają!

«Ach, ciebie, bracie, czuć kadzidłem!
 Drżą z strachu me kolana!»
 — Wszak wczoraj byliśmy my razem
 W cerkwi świętego Jana.

Kadzidło przeszło z księdza w tłum,
 Co w cerkwi się gromadził...
 Matko, drzwi otwórz! To Konstantyn
 Twą córkę ci prowadzi.

«Gdys już umarli — odejdz precz!
 Gdy ze mnie drwisz — idź dalej!
 Areta — córka moja biedna —
 W obczyźnie gdzieś woddali!».

— Matko, drzwi otwórz! Jam Konstantyn,
 Jam syn twój, matko droga!
 Jam przyszedł spełnić swoje klątwy,
 Com klął imieniem Boga!

Przyszedł na ciebie wielki ból,
 Ja córkę ci przywożę. —
 Otworzyła drzwi i padła martwa,
 Wolając: Trup, o Boże!

Tłum. Antoni Lange.

CHAROS I PASTERZ

Piękny Lewenti z wierzchu gór
 zstępował na rozłogi.
 W górach, gdzie głucho szumił las,
 Charos zły stał u drogi.
 «Stój, stój, Lewenti, dokąd? skąd?»
 — «Trzodę mą pasłem w górach,
 Śpieszę na obiad w domek mój,
 śpieszę na orlich piórach». —
 «A ja tu duszę twoją wziąć
 z rozkazu Boga dążę».
 — «Pozwól mi jeszcze, pozwól żyć,
 tyle mię z życiem wiąże.
 Młodą mam żonę, ach! wzór żon,
 pierwsze przy piersiach dziecię:

Wdowę z sierotą moja śmierć
 samych zostawi w świecie!»
 Charos nie widzi rzewnych łez,
 Charos tych prośb nie słucha.
 — «Chodź, chodź więc, bożku, spróbuj sił,
 darmo nie oddam ducha».
 Więc się ujeli obaj wpół,
 obaj się złamać pragną;
 Równa w nich zrzeczność, równa moc —
 zegną się, przegną, nagną.
 I tak walczyli cały dzień;
 ale w godzinę szarą
 Zawył okropnie w górach wiatr —
 zabił pasterza Charo.

CHAROS I DUSZE

Co tak w tych kniejach szumi i ciemnieje?
 Czy słońca leje, czy wiatr drzewa chwieje?
 Ni słońca leje, ni wiatr drzewa chwieje —
 Charos z duszami przejeżdża te knieje.
 Młodzi szli przodem, starce idą w tyle,
 A dzieci rzędem siedziały na koniu.
 Błagają, skomląc, i pokłony biją:
 «O, nasz Charosie! ach, przy jakim błoniu,
 Przy jakiej rzece zatrzymaj się chwilę,
 Poczekaj chwilę, starce się napiją,
 Młodzi zabawią, dzieci kwiatów zbiorą».
 — «Nie, nie! przy żadnej rzece, żadną porą
 Charos nie czeka. Jak przyjdą po wodę
 Matki, sieroty i młodzi, i młode,
 Poznają mężów, ojców, przyjacieli —
 A wówczas, wówczas kto was tam rozdzieli!»

Tłum. Aleksander Chodźko.

ATANAZY CHRISTÓPULOS

(1770—1847)

WYROCNIA

Wiodąc z sobą spór zajadły,
Trzy piękności mię opadły
I na honor jęły prosić,
Która piękna, by ogłosić.
I przysięgą każda ręczy,
Że całusem się wywdzięczy
Ta, co wyżej ją postawię
I urodę jej wysławię.

Rzekłem: «Wdzięczne kotki moje,
Nie w kłopotcie ja tu stoję;
Pocóż swary i lapanie,
Gdyście piękne — niezrównanie!»
Więc nastala teraz zgoda,
Chętnie usta każda poda,
By nie było swarów, sprzeczek,
A jam miód pił z trzech usteczek.

Tłum. O. B.

TĘSKNOTA

O, gdybym był zwierciadłem,
Wzięłabyś mnie do ręki,
A jabym zawsze widział
I ciebie, i twe wdzięki.
O, gdybym był grzebykiem,
Łagodnie lube, gęste
Dzieliłbym włosy twoje
I rozczesywał często.

O, gdybym był wietrzykiem
I wszędzie wolnie gonil,
Siadałbym na twe łono,
Bym świeżość na nie ronil.
O, gdybym snem był wreszcie,
Co wieczór-by sen złoty
Zamykał słodkie twoje
Oczęta śród ciemnoty.

Tłum. Józef Borkowski.

KONSTANTYN RIGAS (FERREOS)

(1757—1798)

PIEŚŃ POWSTAŃCZA HELLENÓW

Zbudźcie się, Hellady dzieci! Oto chwały narodziny:
Bohaterskie nasze dziady niechaj godne mają syny!
Wstańcie, jak waleczni męże, by niewolę zrzucić wstrętą,
Wstańcie pomścić kraj ojczysty i zmyć we krwi hańby piętno!
Syny Grecji! hej, do bronil!
Wolność, prawo w waszej dłoni!
U nóg waszych niech popłynie
Wrogów waszych krew!

Cienie zmarłych wojowników, wy, co kryją was kurhany,
Z państwa duchów zejdźcie teraz na rodzinnej ziemi lany.
Przy odgłosie surm bojowych dajcie przykład swego męstwa.
I gdzie gród na siedmiu wzgórzach, tam nas wiedźcie do zwycięstwa!
Syny Grecji! hej, do bronil!
Wolność, prawo w waszej dłoni!
U nóg waszych niech popłynie
Wrogów waszych krew!

Sparto! Sparto! chcesz-że jeszcze wlec ten sen swój ociężały?
Złącz się teraz z Atenami i do dawnej podąż chwały!
Wspomnij dzieje Leonida, on cię blaskiem swym oświeci,
On, ten rycerz uwielbiany, co swem męstwem postrach nieci.
Syny Grecji! hej, do bronil!
Wolność, prawo w waszej dłoni!
U nóg waszych niech popłynie
Wrogów waszych krew!

Swoją garstkę Leonidas w termopilskie wiódł wąwozy
 I na Persów hańbę rzucił: taki miecz miał pełen grozy!
 Tylko trzystu miał wojaków, lecz wojacy to najszczerzi;
 On, jak lew, w krwi wrogów brodził, bo miał ogień święty w piersi.
 Syny Grecji! hej, do broni!
 Wolność, prawo w waszej dłoni!
 U nóg waszych niech popłynie
 Wrogów waszych krew!

Tłum. O. B.

ALEKSANDER YPSILANTI
 (1792—1828)

SKARGA PTASZĘCIA

— O, biedne ptaszę, ptaszę samotne,
 Dokąd cię niesie skrzydło polotne?
 Gdzie twoje gniazdko? powiedz, ptaszyno!
 — Dni moje w smutku bez końca płyną.
 Ja nie mam gniazda. Błąkam się wiecznie
 I szukam ciszy bezużytecznie —
 Próżno śni szczęście tęskne me łono,
 Próżno śni szczęście! Nie wiem, gdzie ono.
 Miałem ja gniazdko, gdym był maleńki,
 I w cieniu mirtu swoje piosenki —
 W ciszy piosenki wesole snułem.
 We własnem gniazdku radość ja czułem!
 Miałem kochankę: jej czar miłosny
 Serce me poił w dni życia wiosny.
 Nagle z obłoków spadł sęp drapieźny —
 W dziewczę me rzucił wzrok swój lubieżny,
 Rozszarpał dziewczę moje promienne
 I zniszczył gniazdko moje wiosenne!
 Odtąd przez cudze błąkam się szranki —
 Ach, bez ojczyzny i bez kochanki!
 Zmęczone skrzydło, ciało zmęczone
 Gna mię, gdzie zechcą losy szalone,
 Gdzie mię poniosą w groźnym szeleście
 Wichrów i burzy prądy, aż wreszcie
 Tam dojdę, dokąd wszystko się uda,
 Gdzie nawet świata kończą się cuda —
 Gdzie sęp drapieźny, co zbrodnie rodzi,
 Gdzie i niewinne ptaszę uchodzi.

Tłum. Antoni Lange.

Z «MANIFESTU POWSTAŃCZEGO»

Do narodu greckiego

Walcz za wiarę i ojczyznę!

Hellenowie! nadeszła wielka godzina. Już dawno ludy Europy, walcząc o swe prawa i wolność, wezwały nas do naśladowania. Narody te, które wszakże były w dużej mierze wolne, starały się ze wszystkich sił o powiększenie swej wolności, a przez to i ogólnego swego dobrobytu.

Nasi bracia i przyjaciele są całkowicie gotowi. Serbowie, Suljoci i cały Epir oczekują nas z bronią w ręku. Powstańcie więc, powstańcie, złączeni wzajemnie gorącym zapalem! Ojczyzna woła was!

Europa utkwiała w nas oczy i dziwi się naszej nieruchliwości. Niechże więc góry Grecji rozembrzmia trąbą wojenną naszych wojowników, a doliny niech się napelnia szczękiem naszego oręża! Europa będzie podziwiała nasze wielkie czyny, a tyrani nasi, drżący i bladzi, będą uciekać przed nami.

Uświadomione narody Europy pracują nad odrodzeniem swego dobrobytu i, pełne wdzięczności za dobrodziejstwa naszych pradziadów, pragną wolności Grecji. My, godni cnót naszych przodków i ziomków czasu obecnego, żywimy pełną nadzieję, że otrzymamy ochronę i pomoc ze strony narodów. Wielu przyjaciół wolności przyjdzie od nich, aby walczyć wspólnie z nami. Powstańcie więc, przyjaciele, a niezadługo zobaczycie wielką potęgę, wkraczającą w obronie naszych spraw. Zobaczycie, jak wielu naszych przeciwników, wzruszonych sprawiedliwością sprawy naszej, odwróci się od wrogów i z nami się połączy. Gdy tylko przejawią oni swoje szczerze chęci, ojczyzna weźmie ich w swe ramiona. Któż więc jeszcze będzie powstrzymywał męską dłoń od czynu? Nasz zniewieściały wróg jest słaby i bezsilny; nasi doświadczeni wodzowie i nasi ziomkowie są pełni ognia. Połączcie się więc, dzielni i wielkoduszni Hellenowie! —

...Działajmy w imię wspólnej idei: bogaci niech złożą część swego majątku, pasterze duchowni niech napawają lud własnym przykładem, a uczeni niech służą pożyteczną radą... Jako dzielni mężowie, uzbrojcie się wszyscy bez zwłoki w niezwyciężoną broń męstwa, a ja przyrzekam wam w krótkim czasie zwycięstwo i z niem wszystko dobre. Jak będą mogli stanąć przed narodem tchórzliwi żołdacy, przed narodem, który walczy o własną niepodległość? — — —

...Musimy na nowo, dzielni i wielkoduszni Hellenowie, sprowadzić wolność na klasyczną ziemię Grecji. Walczcie pomiędzy Maratonem a Termopilami! Walczcie na grobach naszych ojców, którzy tam walczyli i padli, aby nas widzieć wolnymi. Krew tyrana miła będzie ceniom Tebańczyka Epaminondasa i Ateńczyka Trazybulosa, który stącił 30 tyranów; będzie ona przyjemna ceniom Harmodjusa i Arystogejtona, którzy złamali jarzmo Pizystrata, ceniom Tymoleona, który w Koryncie i Syrakuzach wolność przywrócił, wreszcie ceniom Milcjadesa, Temistoklesa, Leonidasa i tych 300, którzy tak silne, niezliczone wojska barbarzyńskich Persów pobili, Persów, których barbarzyńskich i zwyrodniałych następców z małym trudem pokonać jest celem dnia dzisiejszego!

Do broni więc, przyjaciele! Ojczyzna woła nas!

(W kwaterze głównej w Jassach 8 marca — 24 lutego — r. 1821.)

Tłum. Wincenty Gorzycki.

ALEKSANDER RIZOS RANGAVÍS (RANGABÉ)

(1810—1892)

WĘDROWNICA

— Złotowłosa, z białemi ramiony,
Gdzież to śpieszysz sama przez pustynie?
Już jest północ, a o tej godzinie
Duchy w różne przebiegają strony,
Wieszczki skaczą po łące zielonej,
A nerejdy tańczą w gór wyżynie.

— Jeśli tańczą nerejdy w tej porze,
Niechaj tańczą, nie za nimi gonie!
Wy, przechodnie, widzieliście może
Gdzie kochanka mojego w tej stronie?

— A gdybyśmy spotkali go drogą,
Powiedz, po czem poznać go, niebogo?

-- Był wysoki, czoło miał płomienne,
 Młody, piękny, jak słońce wiosenne;
 Uśmiech słodki, jak poranek maju,
 Śpiewał cudnie, jako słowik w gaju,
 Miód na ustach, miłość miał w swem oku,
 Dzielność w sercu — a mnie miał przy boku.
 Tak nam biegły jasne dni pogody,
 Jako parze synogarlic młodej.
 Dnia jednego rzekł mi: «Żegnaj, miła,
 Już godzina rozstania wybiła;
 Patrz, tam wdali wróg podpala siola,
 Szabla szczeka — jej to głos mnie woła:
 Widzisz hufiec palikarów¹ zbrojny?
 Mnie czekają, by pójść w taniec wojny;
 Słyszysz dzieci jęk i kobiet lkanie?
 Mnie czekają, bym się pomścił za nie».

— «O, mój wierny! idziesz w świat daleki,
 I mnie tutaj rzucasz bez opieki,
 Tam piękniejsze spotkać możesz w drodze
 I zapomnisz o swojej niebodze»...

«Nie płacz, dziecko, nachyl ku mnie czoła,
 Jeszcze uścisk, bądź zdrowa, wesola,
 Ja ci będę aż do zgonu stałym.
 Trzykroć spadnie śnieg całunem białym,
 I trzykrotnie roztopi go wiosna,
 Wtedy głos mój usłyszysz, radosna,
 Wtedy wrócę!»

I powiódł szeregi.
 Już trzy lata spadły białe śniegi
 I trzykrotnie stopniały od słońca,
 Przeplakałam trzy lata bez końca,
 Nie powrócił... Przebiegłam dokoła
 Łąki, góry, pustynie i siola...
 Podróżnicy! ze łzą mnie słuchacie,
 Czyliż dla mnie nadziei nie macie?
 Podróżnicy swobodni, weseli,
 Odpowiedzcie, gdzieście go widzieli?
 Gdy na uczcie — dzielić ją pobiegnę,
 Gdy w mogile — obok niego legnę!

— Piękne dziewczę, gdy go kochasz tyle,
 Gdziem go widział, powiem ci, tęskniąca:
 Nie na uczcie, ani nie w mogile;
 Jam go widział na czele tysiaca.
 Przejdź dolinę i przebiegnij górę,
 Dąż w pustynię, mijaj siola gwarne,
 Czarną odzież, czarną w duszy chmurę,
 Broń ma czarną, łzy i serce czarne.

Idzie dziewczę wślad wskazanej drogi,
 Nad przepaścią przebiega bez trwogi,
 Zręcznie skały przeskakuje duże,
 Aż stanęła na wyniosłej górze.

¹ Powstańcy greccy.

Widzi, leśne zwierzęta jak biega,
 Lecz kochanka nie widzi swojego.
 Wzrok jej płonie, serce się rozpada,
 Więc znużona na murawie siada,
 Tęsknie śpiewa, płacząc w smutnej ciszy,
 Wtem z pod ziemi takie słowa słyszy:
 «Kto śmie mieszać sen, jakim zasnąłem?
 Kto śmie deptać mego grobu trawę?
 Czyżem splamił palikarów sławę?
 Wszak trzydziestu Turkom głowy ściałem,
 Wszak czterdziestu do niewoli wziąłem...
 Szablę moją laur sławy oplata,
 A jednakże nie cieszy mnie ona,
 Bom nieszczęsny nie spytał Charona,
 Gdym przyrzekał wrócić za trzy lata;
 Nim raz trzeci zima świat uspiła,
 Kula wroga moją pierś przeszyla.
 Grób mój zimny, zimne moje ciało,
 Tylko serce gore, jak gorzało».

— «O, mój luby! twoje kroki słyszę,
 Głos poznaję... Czemuś mnie porzucił?
 O! przyjdź do mnie, kiedyś mi powrócił,
 I niech wiecznie tobie towarzyszę».

«O, dziewczyno! chata moja czarna,
 O, dziewczyno! wąskie moje łóżce,
 Promień słońca tutaj dojsć nie może,
 Nie doleci kropla rosy marna».

— «Co mi z tego, że czarna twa chata,
 Wąskie łóżce? pójdę z tobą wszędzie...
 Pójdę z tobą, choćby na kraj świata:
 Głęb przepaści rajem dla mnie będzie».

Dziewczę widzi cień ukochanego,
 Cień okryty potem, krwią, kurzawą,
 Jak w dniu walki śmiertelnej dla niego...
 Psy szczekają, ptaki kwilą łzawo,
 Wichr pomiata cyprysy wzniosłemi,
 Burza drzewa wyrywa z korzenia,
 Wyciem głuszy jęki i westchnienia,
 Śpiewa straszny psalm śmiertelnym ziemi:
 Z chmur wślad gromów gromy nowe lecą,
 Błyskawice dla dwóch trupów świecą.

Tłum. Władysław Sabowski.

PRAGNIENIE

W złote włosy — dla zabawy —
 wplotło dziewczę kwiat jaskrawy.
 Dziewczę, daj ten kwiat jarzący —
 o nic cię nie proszę więcęj!

Ona wdzięcznie się zapłoni,
 kwiat podała w białej dłoni.
 Dziewczę, nie mam złych intencyj:
 daj mi rączkę — i nic więcęj!

Dziewczę dało rączkę miłą,
 lecz oczęta wdół spuściło.
 Daj mi — proszę ją gorącej —
 choć spojrzenie... i nic więcęj!

Jasnym oczkiem ku mnie błysnie,
 na jej usta śmiech się ciśnie.
 Dziewczę, proszę znów gorącej,
 daj buziaka — i nic więcęj!

Słodkie usta mi podała,
 lecz drży czegoś pierś jej biała.
 Chodź! Na piersi twej dziewczęcej
 daj mi spocząć — i nic więcej!

A dziewczątka w tym momencie
 rzuca mi się wprost w objęcie!
 Mam cię, moje sto tysięcy!
 Nic już, nic nie pragnę więcej!

Tłum. Józef Birkenmajer.

RADY

Rzekło mi majowe kwiecie:
 «Bacz, niech troska cię nie gniecie,
 Dość cię życie namęczyło —
 Tu wypoczniesz sobie miło!»

Rzekły jasne tve oczęta:
 «Nanic książek mądrość kręta!
 Jeśli zmądrzeć chcesz prawdziwie,
 Chłoń tę światłość, co w nas żywie!»

Rankiem gaił się odzywa:
 «Zanim starość przyjdzie siwa,
 Porzuć świata gwar i boje —
 Niech cię olśnią krasy moje!»

I rzuciłem wszystkie księgi,
 Poza trosk wyszedłem kręgi —
 Jedna tylko we mnie rośnie:
 Tobie służyć chcę i wiośnie.

Tłum. Alfred Tom.

PANAJOTIS SUTSOS

(1806—1868)

NA RUINACH SPARTY

Tocz, tocz, spartańska rzeko, swoje fale mętne!
 Na pianie twej pozółkłe płyną liście smętne,
 Zimnej jesieni zwiastuny,
 Co cicho się unoszą za fal twoich biegiem, —
 A ja, cichy wędrowiec, stoję nad twym brzegiem
 I w sercu noszę całuny.

Euroto, gdzie jest dzisiaj owa sławna era,
 Gdy się bohaterowie kapali Homera
 W twych wód przejrzystym kryształe...
 Kiedy z Agezylajem mierzył dłoń swą w bitwie
 Tebańczyk mężny w boju, a bystry w gonitwie
 Tak, jako sine tve fale?

Żadne się tu przeszłości echo nie odzywa,
 Tylko smutek — samotność — i cisza straszliwa
 Nad twemi brzegi dziś krąży.
 Pustynią naokoło zaległy obszary,
 Słychać tylko szum trzciny i fal twoich gwary,
 Co jak piorun w dal dąży.

O, ojczyzno Likurga, ziemio nieśmiertelnych,
 Ojczyzno wielkich imion, matko czynów dzielnych,
 Całuję twoje wspomnienie.
 O ty, Peloponezu królowo, o Sparto!
 Ach, krew w mych żyłach huczy boleścią zażartą,
 Gdy patrzę na tve zniszczenie!

Straszny widok! Tyś szkielet dzisiaj, o Lakonjo,
 A grób Leonidasa — o, gorzka ironjo —
 Został oborą dla bydła.

Jaskinią — Kleomena wstawione siedlisko,
I mieszkają tam dzisiaj niedźwiedź i wilczyisko,
Gdzie duch roztaczał swe skrzydła.

Sparto, gdzie twój bohater, gdzie dziś Leonidas,
Gdzie wielki Agezylaj, gdzie mężny Brazydaz,
Gdzie lud twój? gdzie twe efory?
Gdzie są walki Palestry? gdzie twych dziewic grono,
Co ćwiczyły swe ciała — z piersią obnażoną —
Pełne wstydlivej pokory?

Tłum. Antoni Lange.

DIONIZY SOLOMÓŚ

(1798—1857)

HYMN DO WOLNOŚCI¹

(Wyjątki)

O, poznaję groźne ostrze
twego miecza z dawnych lat
i wzrok, co — gdy się rozpostrze —
zdola podbić cały świat!

Witaj, witaj, o wolności,
co ożywasz mężną krew!
Dawnych Greków święte kości
to twój skarbiec, to twój siew!

Tam, znękana i przygasła,
wśród holesnych żyłaś snów,
oczekując tego hasła,
co cię wezwie: «Powstań znów!»

Głucha cisza legła wokół,
dlugo nie nadchodził dzień...
Nas niewolny łańcuch okuł,
dusze okrył lęku cień...

O nieszczęsna! Ten jedyny
ślad pociechy ostał snąć,
że wspominasz dawne czyny,
że — lzy jeszcze możesz lać...

O nie!... Oto dzieci twoje,
ogniem płonąc w głębi łon,
wraz na krwawe śpieszą boje,
na zwycięstwo albo zgon!...

Witaj, witaj, o wolności,
co ożywasz mężną krew!
Dawnych Greków święte kości
to żywota twego siew!

BLONDYNKA

Widziałem wczoraj dziewczę
o włosach jasno-blond;
na pokład łodzi weszła,
by precz odjechać stąd...

Śnieżystych żagli rąbek
pod wiatr rozwinął się,
podobnie jak gołąbek
do lotu skrzydła rwie...

Przyjaciół grono stało
w smutku na brzegu tym.
A ona chustką białą
znak jeszcze słała im...

Stałem... długo patrzę
i śledzę, kędy jest...
Aż sina dal mi zatrze
ów pożegnałny gest...

Po chwili zasię krótkiej
rzec nie umiałem już,
czy widzę żagle łódki,
czy tylko pianę mórz...

I żagiel w chwil niewiele
wśród morskich zniknął ścież...
Plakali przyjaciele —
i ja płakałem też...

¹ Dzisiejszy grecki hymn narodowy.

NA IPSARĘ¹

Po Ipsary pagórach szerniałych
 kroczy Sława, samotna i wdowia,
 wspominając junaków wspaniałych...
 A nad czołem ma wieniec zielony,
 z tych nielicznych gałązek spleciony,
 co ostały wśród zgliszcz i pustkowiea...

Tłum. Józef Birkenmajer².

JERZY ZALOKOSTAS

(1805—1858)

POCAŁUNEK PASTERKI

Kochałem pasteczkę, urocze, piękne dziewczę —
 kochałem ją nad cały świat,
 a miałem wtedy dziesięć lat,
 smarkaczem byłem jeszcze...

Raz, kiedyśmy siedzieli na łące rozkwiecionej:
 «Marysiu! — rzekłem — wyznać chcę...
 Marysiu, kocham, kocham cię!
 Ach, kocham jak szalony!»

A ona mnie chwyciła, ucałowała w buzię
 i rzekła: «Jesteś mały brzdąc;
 co tobie do miłosnych żądz!...
 Urośnij wpierw, łobuziel!»

Urosłem — lgnę znów do niej... Nie do mnie lgnie jej serce!...
 Dziś w zapomnieniu żyję... sam!...
 lecz w duszy wciąż ów całus mam
 i pamięć o pasterce...

DYMITR VIKELAS

(1835—1909)

PODRÓŻ PRZEZ MORZE EGEJSKIE

Jak podróżowano w owych czasach, o tem pojęcia mieć nie mogą ci, którzy od dzieciństwa nawykli przebiegać przy pomocy pary ląd i morze. Coprawda i dziś jeszcze nad naszym morzem Egejskim ten, kto nie może przez piętnaście dni czekać na statek parowy, zmuszony bywa przedsiębrać tułaczę wędrówki, podobne do dziejów Odyssa i jego towarzyszy... ale koniec końców, w czasach obecnych nawet mieszkanie najbardziej ustronnej wysepki nie jest wiecznym niewolnikiem i sługą swawolnych wiatrów. Byle miał odrobinę cierpliwości, doczeka się i przyjscia parowca!

Atoli wówczas nie znano wcale parowców. Nasze niebo nie woniało jeszcze dymem węgla kamiennych, a nasze wody nie były gwałcone chłostą śruby okrętowej. Gdyśmy wyjeżdżali z Mikonu, dał wiatr pomyślny, ale niebawem ucichł i nastąpiła głucha cisza morską. Godzinami wpatrywaliśmy się w widniejące przed nami nieruchome

¹ Ipsara (Psarà), wysepka koło Chios, doszczętnie spustoszona przez Turków w r. 1824. (Przyp. tłum.)

² Tegoż pióra są dalsze przekłady tekstów nowogreckich, o ile nie podano tłumacza.

skąły Syrosu, ledwie mogąc dwoma ciężkimi wiosłami posunąć na niewielką odległość mocno obładowany nasz statek. Wkońcu przecie po zachodzie słońca zerwał się wiatr i pofalował nasze żagle — niestety, nadciągnął od południa i odepchnął nas zpowrotem w stronę Andros!... Lawirowaliśmy przez całą noc, dokładając starań, by dostać się w okolice Sunion. Przez dzień następny z trudnością usiłowaliśmy dobić się do Pireusu, by zaopatrzyć się w wodę. Gdym później po latach wielu obaczył ponownie port pirejski, jakże mi się wydał malenkim! Wtedy jednak był jeszcze bezmierny, jako że był pusty... Jedyne nasz statek i dwa maluchne czółenka rybackie poruszały się po roztoczy jego cichych wód. Gdzie teraz wznoszą się marmurowe bulwary, tam wzbierające morze rozbijało się o nagie skały. Tam, gdzie rozpościera się potężne i kwitnące miasto i sterczą wysokie kominy fabryk, widać było gołą, nieurodzajną ziemię i obraz spustoszenia. Jedyne na całym wybrzeżu, walące się już w gruzy domostwo uwidoczniło powszechny tu brak życia i ruchu. Trafiliśmy na chwilę oblężenia Aten przez wojska greckie — i właśnie drobny oddziałek żołnierzy rozkwaterował się w zburzonym domku pirejskim. Nie słyszeliśmy dalekiej strzelaniny ani też nie dostrzeżliśmy innych znaków wojny — prócz wspomnianej załogi żołnierskiej. Straszliwą rzeczą jest wojna, nie uszlachetnia ludzi!... Nic nam złego nie zrobili owi żołnierze ani nie przeszkadzali nam w żegludze — w każdym razie dziękowałem Bogu, widząc, że nasz statek oddala się od brzegu. Złowrogą była nam sama obecność tych ludzi — nawet ich powitanie przejmowało nas trwożą! Trzeciego dnia od chwili wyjazdu z Mikonu zarzuciliśmy kotwicę w Specy, gdyż wiatr nie pozwalał nam wpłynąć do zatoki nauplijskiej. Kapitan udał się do miasta. Dała się nam we znaki ciasnota na statku, więc i my poszliśmy za przykładem kapitana, by nacieszyć się myślą, że stąpamy już po suchym lądzie.

KOSTÍS PALAMÁS

(ur. 1859)

NAPRZÓD!

Hej, naprzód, w bój! Przedrzyjmy mrok!	Hej, naprzód! W bój! Już czas, już czas!
Niezłękli, nieosiabli!	Hej, góry, wzwyż nas wzniesć!
Ha! bije grom!... To odgłos flint!	Przestwory mórz! wspierajcie nas,
To błyska ostrze szabli!	zwycięską flotę wieźcie!
Hen, od Tajgetu aż po Pind,	Rigasa surma larum gra
aż po bałkańskie szczyty	i w niebo grzmi jak burza:
żar jeden — niepożyty —	«Hej, żbiki Czarnogórza,
i jeden duch!... Hej, w bój!	Olimpu orły! W bój!»

Hej, naprzód, bracia! naprzód! W bój!
 Niezłękli! Nieosiabli!
 Ha, bije grom!... To flinty grzmią,
 to błyska ostrze szabli!
 Hellada błyszczy! Echa brzmia
 i serca drżą podnieta!
 Hej, w bój! Rumeljo! Kreto!
 Moreol!... Naprzód, w bój!

28. IX. 1912.

MAGDALENA

(Opowieść kretańska)

(Początek)

Nazywała się Magdalena, lecz to imię biblijne zgoła nie harmonizowało z jej nieskalaną i surową pięknnością, przypominającą raczej w swym typie antyczną posągowość bogini greckiej. Odkąd przywdziała szatę prostą, ale skrojoną ściśle według jej wzrostu, a dwa długie, bujne sploty jej włosów zwisały na plecach, okazał się cały

powab jej postaci i symetria członków. Bo kiedy po raz pierwszy zjawiała się w naszym domu, przyjęła przez mego stryja, okrywała ją szpetne, znoszone łachmany. Magdalena dostała się do naszego miasta, jako należąca do zastępu obdartych kobiet i dzieci z Krety, wysadzanych wtedy — w czasie bohaterskiego powstania z r. 1866 — na wszystkie wybrzeża wolnej Hellady.

«Powszędy w rozproszeniu swem wędrują ci biedacy,
Nie wiedząc, co im niesie los; gdy kogo z nich zapytać:
— Skąd idziesz, przyjacielu, mów? — belkoce w odpowiedzi
Bolesne słowo K r e t a, nie — prócz tego jedyne;
A potem cicho sobie dłoń ściskają, poplakują».

Te wiersze z bardzo starego poematu kreteńskiego w czasie trwania owych bo-
jów nabrały nowego życia, jakgdyby je napisano właśnie poto, by żalić się na smutne
losy nieszczęsnych wygnańców.

Miałem wtedy zaledwie osiem lat, lubiłem jednak książki bardziej niż zabawy,
a czytanie co najmniej tak, jak słodycze. To też przysłuchiwałem się uważnie stryjowi
menu, gdy każdej niedzieli po obiedzie w obecności całej rodziny odczytywał wiado-
mości ze «Światta». Uwagę naszą pochłaniały zwłaszcza sprawozdania wojenne, kiero-
wane do komitetu centralnego w Atenach, o bohaterstwie naszych, o bestjałskiem
okrucieństwie Turków, o flocie narodowej i o entuzjazmie, który opanował stolicę. Po
odczytaniu już wszystkiego mężczyźni omawiali to, co było w gazecie, kobiety prze-
syłały gorące życzenia bojownikom, a przekleństwa — Mustafie; ja zaś utrwalałem
w wyobraźni swej nazwiska Koraxa, Kriarisa, Koroneosa, Surmelisa tuż obok imion
herojów mitycznych. Również i Magdalena brała udział w lekturze niedzielnej — jako
słuchaczka. Wiadomo jej było, że to, co stryj nam czytał, dotyczyło walk w jej ojczyź-
nie. W oznaczonej godzinie zbliżała się cicho i stawiała we drzwiach wyprostowana.
Nie zmieniała też postawy swej, póki trwało czytanie, przysłuchując się, jak oczaro-
wana, dźwiękom, dochodzącym do jej uszu. Jak to zwykł czynić człowiek z ludu, gdy
słyszy słowa nieznanne, tak ona w niezrozumiałej dla siebie greczyźnie «Światta», rzekł-
byś, usilnie starała się odnaleźć jakiś znajomy wyraz, uchwycić jakieś imię umiłowane.

Ale cóż to wreszcie znaczyło dla niej, że nic z tego nie rozumiała? Dość jej było
wiedzieć, że ta obca jej mowa zajmowała się jej ojczyzną. Cóż to szkodzi wierzącemu
prostaczkowi, że język Ewangelji jest dlań niezrozumiały? Wystarczy mu to, że owe
słowa — to słowa Boga.

W ciągu tych wielu dni od przybycia do naszego domu zachowywała trwożliwe
milczenie, jakkolwiek wszyscy byli względem niej szczególnie życzliwi. Wynikało to
może ze świeżego jeszcze cierpienia, że przyszło jej opuścić ojczyznę; może też z uczu-
cia upokorzenia, że zmuszona była korzystać z dobrodziejstwa innych; ale może rów-
nież z doznawanego zadziwienia, ilekroć spostrzegą osobliwe, a chwilami nawet ucie-
szone wrażenie, jakie na nas, prawdziwych Rumeljotów, sprawiało jej narzecze ojczyste.
Jedynie najstarsza moja siostra — żyła jeszcze naówczas dobrotliwa nasza Teanó —
potrafiła rychło pozyskać jej zaufanie, w ten oto sposób:

Pewnego wieczora siostra moja, ku najwyższej mej rozkoszy, czytała na głos
wyjątek z «Erotókritosa»¹. Byłem tak zachwycony, że z nadmiaru słuchania poematu
zapomniałem o lekcjach. Magdalena, która przypadkowo weszła do pokoju, stanęła
jak urzeczona na dźwięk znajomych strof, których szlachetny rytm oczarował uszy
wszystkich obecnych. Siostra moja recytowała właśnie słodkim swym głosem następu-
jące wiersze:

«A ten-ci jeszcze syna miał, troskliwie chowanego,
Dobroci, szlachetności wzór, iż każdy miał go w cenie.
Choć ledwie osiemnastu lat, rozumem starym sprostał;
Pokrępieł wszystkich słowem swem i żywil mową swoją.
Co ześle niebo w pełni łask, co splynie z gwiazd oddali,
Tem wszystkim ku ozdobie swej darzony był sownice».

¹ «Erotókritos» — kreteński utwór epiczny z w. XVI.

Wielkie czarne oczy Magdaleny naraz się roziskrzyły. Podeszła, dotknęła prawie krzesła mojej siostry i przysłuchiwała się bez tchu, przerywając niekiedy czytającej pełnemi zachwyty wykrzykami. Nie były to już niezrozumiałe hellenckie formy językowe z gazety!... Skończywszy czytanie, siostra moja zwróciła się do niej z zapytaniem:

«Magdaleno, czy podoba ci się *Erotókritos*?»

«Ach, czy mi się podoba, pani! Jakże często słyszałam go z ust Damaskinos!»

«A któż to jest ten Damaskinos, Magdaleno? Czy to twój brat?»

«Nie, pani, to mój... narzeczony», odrzekła, rumieniąc się.

«No, co za skrytość! przez tyle więc czasu zatajałaś przed nami, żeś zaręczona?»

«O, skądżebyś miała pragnąć dowiedzieć się, co ja kryję w sercu! Gdybym jeno zaczęła opowiadać ci o tem, przenigdyby nie starczyło czasu, aby dojść do końca».

«Ach, ty filutko jedna, pewno się bałaś, że ci wykradniemy twe tajemnice, i dlatego nie puściłaś z ust ani słówka? Ale powiedz mi teraz: czy potrafisz czytać *Erotókritosa*?»

«Ja nie umiem, ja nieszczęśliwa, ale Damaskinos, on to potrafi, on jest odczytany. Ilekroć przychodził do naszego domu, odczytywał na głos całego *Erotókritosa*, a ja mu się przysłuchiwałam. Tak, nawet ta oto książka, którą trzymasz w ręku, wygląda zupełnie tak samo, jak tamta Damaskinos».

I zlekka, osunąwszy się na kolana, dotknęła książki, leżącej na kolanach siostry mojej, i zaczęła obracać kartki z owem niezręcznem nabożeństwem, jakie ludzie, nie umiejący czytać, zazwyczaj przejawiają w stosunku do książek.

«Niemal wierszy», mówiła dalej, «nauczyłam się bodajże z jego własnych ust, lecz przy tych wszystkich okropnościach i zagładzie, która nas spotkała, wyleciały mi one z pamięci... O, są znów, są! teraz mi się przypominają; uważaj, czy je dobrze mówię:

«I ręką uchwyciłam go, do głębi poruszona,
Bo mi nadzieję słodką dał, że mu małżonką będę;
I wiernie mu podałam dłoń ku wiecznej już pamięci:
Że ma otuchą dla mnie być po wszystkie dni żywota!»

Osobliwy ton, w jakim z najwyższym zapalem wygłosiła te wiersze, użyczył im jakiejś czarownicy, chwytającej za serce melodji.

«Ach, powiedz mi, droga pani, jeno mi powiedz — oby cię niebo pobłogosławiło za to! — jak brzmią dalsze wiersze. Niech usłyszę choć jeden, a przypomną mi się wszystkie pozostałe». —

Thum. Alfred Tom.

JAN PSICHARIS

(1854—1929)

BOHATEROWIE Z NAD MORZA

My Nowogrecy często kłócimy się między sobą. Zwłaszcza na Chios stało się to już tradycją, że zamiast zwalczać Turków, rzuca się Grek jeden na drugiego. Przeto i ja uniosłem się gniewem i dałem temu wyraz w mojej książce. Miłość i nienawiść żyją tuż obok siebie w naszych sercach; z tą samą siłą nienawidzimy i kochamy, a czasami co godzinę naprzemian to kochamy się, to nienawidzimy.

Jeszcze jedna rzecz cechuje nas Greków: wiemy, czego nam brakuje, a udajemy, że niby tego nie widzimy. Znamy nasze wady, ale chcemy je zataić... nie lubimy o nich mówić. Dlatego i ja nie wymieniłem nazwy niegościnniej miejscowości. Być może, że wyrzuciłem jej krzywdę: u nas Greków i to się zdarza; kiedy nas z jakiegokolwiek powodu zabolę głowa, to choćby nam nikt nic złego nie uczynił, skończyło się, przypało! Wszystkie nieszczęścia zwałamy na osobę najbliższą, na tego «przeklętego draba, który nam rozwalil głowę!» Nader łatwo to czynimy. Ot, na ten przykład, sam przed chwilą tego doświadczyłem. Zaraz potem powiedziałem sobie w duszy: czyżby nie można było znaleźć nic porządnego w tej nieprawości nasiąkłej miejsco-

wości, która pobudziła mnie do gniewu?... A poszło to stąd, że we wspomnianej miejscowości spotkałem jednego ciekawego staruszka.

Był to człek pierwszy we wsi, rzekłbyś: miejscowy dostojnik, jeden z gospodarzy, bo takie miano nadają tam bogatszym.

Pewnego dnia zaciągnął mnie do jednej staruszki i czynił wszystko, co było w jego mocy, by ją skłonić do rozmowy ze mną i opowiedzenia mi jakiej powiastki. Żenowała się staruszka i nie chciała opowiadać. Wówczas staruszek zaczął jej tłumaczyć, czego poszukuję, w jakim to celu przedsięwziąłem tak wielką podróż, jak to się włóczę, by poznać zwyczaje i cechy każdej miejscowości, by porównywać z sobą różne kraje, badać, jak zmieniała się nasza mowa i jak powstała, jak zaczęli ludzie mówić najpierw w małych wioskach, i jak potem przygodnie z tych lub innych wiosek jąleą wzrastać, rozszerzać się i rozprzestrzeniać po całej ziemi ludzka mowa...

Ten niepiśmienny chłopiec, który w młodości przeżył najwyższej piętnościę mięsięcy w szkole, wprawdzie wyolbrzymiał całą sprawę w swej wyobraźni, jednakowoż przedstawiał wszystko tak wymownie, dobierając tak trafnych i pełnych świeżości wyrażeń, że i ja po raz pierwszy zrozumiałem, poco wybrałem się w tę podróż; nigdybym tego nie zrozumiał, jeśli nie tam właśnie. Słowa staruszka wskazały mi, jak wziąć się do dzieła i studjować język...

Gdzie on się tego nauczył? skąd on to wziął? jak on to sobie uroił? Zanim zdolałem powiedzieć do niego jedno słowo, on natychmiast wyrwał ze mnie myśl moją!

ANDRZEJ KARKAVITSAS

(1866—1922)

ZŁE WRÓŻBY

Nie pierwsze to były złe wróżby, z jakimi miał się zetknąć kapitan Kremmidas. Jeszcze zanim wyruszył z domu, wszystkie znaki szły mu naopak. Chciał nająć szypra, coby mu poprowadził statek — ale nie mógł znaleźć nikogo na to stanowisko. Widząc pomyślną pogodę, już zdecydował się jechać; ociągał się jedynie z tego względu, że był to wtorek. Wyszedł przeto w środę, kierując się ku morzu... aliści pierwszą rzeczą, jaką napotkał, była kozal! Cóż miał robić?... wrócił jak niepyszny do domu.

Nakoniec w czwartek, gdy krewniacy zawczasu porozstawiali się na straży przyszłych ulic, a kobiety wyszły naprzód, by przegnać z drogi wszystko, co mogłoby przynieść złą wróżbę, pan kapitan skierował swe kroki ku golecie. I oto okazało się, że jakaś tam sowa nie miała nic lepszego do roboty, jak w sam raz w ową chwilę wylecieć z okrętul...

Wzbila się wgóre, zawróciła i usiadła na maszcie, obrócona w stronę kapitana i wytrzeszczając wprost na niego swe ogromne oczyska. Ledwom ją zoczył, jałem natychmiast machać co sił rękoma i czynić wszelkie wysiłki, żeby ją spędzić. Ale choćbym ją tysiąc razy egzorcyzmował, licho ani myślało ustąpić. Patrzyło sobie to ptaszysko przez chwilę na moje wymachiwanie rękami, a potem najspokojniej w świecie zwracało głowę w inną stronę z taką pogardą, jakby mi chciało powiedzieć:

— A wynoś-że się asan do djabła!

Wkońcu i kapitan ją spostrzegł.

— Idź precz, szatanie! — zawołał, kreśląc znak krzyża. Podniósł głowę i jał z uporem spoglądać jej prosto w żrenice. Ale i ona z taką uporczywością wlepila w niego oczy, rzekłbyś, że chciała go urzec. No, i urzekła go wkońcu! Kapitan stał się żółty jak wosk, potem nagle zmieniła mu się cera i stał się czarny jak smoła; krew mu uderzyła do głowy i poczał się dusić; włosy stanęły mu dębem na głowie, wasy nastroszyły się dziko, oczy ciskały błyskawice i trząsł się na całym cieie czyto ze wzburzenia, czy pod wrażeniem rzuconego nań uroku; wpatrywał się w ptaka, nie przestając wdychać i pomrukiwać, niby ciężko krzywdzona i mocno udręczona dusza:

— A kysz! A kysz! Odpędzam ciebie poświęconą rutą, czaracie przebrzydły! Czego chcesz ode mnie, piekielniku bezbożny!... Oddal się ode mnie i nie wódz mnie

na pokuszenie!... Zostaw-że mnie w spokoju, człowieka spokojnego i ojca dzieciom... bym mógł sobie zapracować na kawałek chleba!...

Ale ptaszysko nie rozumiało ani słówka z tych zaklęć i nie myślało ruszyć się ze swego siedliska.

CHRISTOS CHRISTOVASILIS

(ur. 1861)

SEN PASTUCHA W NOC WIGILIJNĄ

— Baaaaa!... Beeeel!... — pobekiwały barany i owce.

— Haul Haul — poszczekiwały psy owczarskie.

Północ już przeszła. Dał silny wiatr, trzęsąc od posad całym szalasem, a ilekroć przycichł nieco burzliwy jego podmuch, od którego drętwiały z zimna mniejsze jagnięta, zaczynał sypać śnieg grubemi płatami i stał się po ziemi. Straszliwy czas, sam środek zimy, wigilja Bożych Narodzin! Mróz, wichura i śnieg walczyły z ziemią, jakby im była złą macochą, jakgdyby im była śmiertelnym wrogiem.

Wśród tej śnieżycy i zawieruchy zaczął rozlegać się dźwięk cerkiewnego dzwonu. Bił ciężko, poważnie, rozgłośnie. Na ten dźwięk poruszyły się psy; zasię owczarz, który spał ciężkim snem w ludzkiej przegrodzie, koło ogniska, otulony burką, od rana już przebrany odświętnie i gotów na pierwszy znak wyruszyć do cerkwi, z wielkim trudem ocknął się na alarm psich naszczekiwań i powiódł wokół oczyma w ciemności, jakgdyby niedowierzając własnemu przebudzeniu. Wszak nie upłynęła jeszcze ani chwilka od czasu, gdy na świecie był maj w całej piękności i krasie, nie upłynęła i jedna chwilka od czasu, gdy z dwunastu tysiącami kóz i owiec, ze swymi juhassami, ze swą psiarnią, z przyborami do wyrabiania sera szedł jako przewodnik na połoniny... nie upłynęła ani jedna chwilka, jak po wspaniałej uczcie kładł głowę koło haftowanych trzewiczków przepięknej Marysi, którą kochał i za którą tęsknił... tej Marysi, tak sławionej i tak podziwianej córki pierwszego bacy, o którą ubiegali się najprzedniejsi juhasi i gospodarscy synowie! To, co widział, co posiadał — iż był tam jednocześnie bacą, najpierwszym z baców, właścicielem dwunastu tysięcy kóz i owiec oraz mężem przeurodziwej Marysi — wszystko to, jakby na urągowisko jego nędzy, było niczem innym, jak... snem w noc wigilijną! Z czarów dnia majowego dostał się w sam środek zimy, z bacy i gospodarza, przodującego tysiącom kóz i owiec, stał się ubogim pastuchem cudzego stada, a jedynie w sercu pozostała mu głęboka tęsknota za prześliczną Marysią, jedyną córką bacy Skendosa, za cudowną Marysią, którą kochał, kochał niezmiernie i o której poślubieniu nigdy nie marzył, bo był chudziną, nie zaś żadnym bacą i bogaczem!...

Dumał sobie, dumał nad tem, wzdychając z głębi serca, jakgdyby go spotkało jakoweś wielgie nieszczęście. Wkońcu przyniósł cebrzyk z wodą, umył się, wyszperał pod stryszkciem ukrytą świeczkę woskową, wziął w rękę kij pasterski i podążył ku cerkwi, wznoszącej się na szczycie pagórka ponad wioską. Gdy wszedł do wnętrza, cerkiew była już pełna ludzi, ale on wyróżniał się swoją urodą ponad wszystkich co najdorodniejszych chłopaków!

— Radość matce, co takiego ładnego chłopca urodziła! — tak sobie w duchu powiadał niejeden z obecnych. Ale najwięcej baczyl na jego urodę sam bacia Skendos. Przypatrował się, a przypatrował... a kiedy pop odśpiewał tę wesołą i radosną pieśń «Chrystus się rodzi», on sam doń pośpieszył, by z serca pobłogosławić zaręczynom swej jedynaczki Marysi z wiernym i rzetelnym swym sługą, juhassem Jorjosem...

Po nabożeństwie, przy śniadaniu, huknięto trzy razy ze strzelb na wiwat w domu pierwszego bacy Skendosa, tak iż wszystkie wsie i wszystkie szalasy dowiedziały się, że się żeni juhass nad juhassami, walny chłop Jorjos, z najurodziwszą z dziewczuch, Maryską, córką najprzedniejszego bacy Skendosa.

I powtarzano wszędzie:

— Niechaj żyją i niech się im dobrze powodzi!...

GRZEGORZ XENÓPULOS

(ur. 1867)

SALON SURISA

Ci, którzy salon ten znają tylko z wieści, gubią się w dociekaniach, czem zajmują się ludzie, gromadzący się tam każdego wieczora. Czy jest to, ot, zwykły sobie salon towarzyski, czy salon artystyczny, czy może — naukowy?

Żaden z tych domysłów nie odpowiada prawdzie. Przyjaciele Surisa poprostu — zabawiają się. Ot, grywają sobie w karcięta, i to, wyobraźcie sobie, po czemu grają: po piątce!... A jednak gra ta przyciąga uczonych, doktorów, profesorów uniwersytetu, poetów, historyków, dziennikarzy... słowem, od lat już dwudziestu bodaj nie było w Atenach takiej «osobistości», któraby nie grała u Surisa w preferansa czy pokera po piątce!

Od tej chwili każdy chyba rozumie, że owa «szulerka» w salonie Surisa nie jest niczem innym, jak tylko pretekstem, miłą sposobnością do przyjacielskich i niewymuszonych zebrań, do swobodnej pogawędki, żartów, dowcipów i wesołości. Ludzie lubią chodzić tam, gdzie mogą się pośmiać i poweselić. A ponieważ ze wszystkich salonów ateńskich tylko w jednym salonie Surisa każdy się śmieje, przeto tam chodzą najchętniej.

Nikt jeszcze nie powiedział: «Pójdę dziś wieczorem do Surisa, by odczytać moją pracę naukową... albo wygłosić mój utwór... albo dowiedzieć się czegoś w danej kwestji... albo spotkać się z kimś, do kogo mam pilny interes... albo posłuchać nowin ze świata politycznego czy też naukowego». Mówi się tylko: «Pójdę się pośmiać, rozweselić, pożartować, rozerwać się trochę»... Salon Surisa daleki jest od wszelkiej podniosłości i powagi, jakiej mógłby ktoś oczekiwać w salonie wielkiego i sławnego poety. I temu właśnie salon Surisa zawdzięcza swą sławę, swoje wielkie ożywienie i stałą wziętość: owej swoistej, zgoła nieoczekiwanej atmosferze, jaka w nim panuje i utrzymuje się od lat całych. Jest on miejscem wytchnienia, wypoczynku i rozrywki wszystkich tych poważnych, mądrych i pracowitych ludzi, którzy schodzą się tu, zostawiając u siebie w domu swoją powagę, książkową mądrość i wszelkie fachowe zatrudnienia.

Wszelkie zagadnienia poważniejsze i bardziej zawikłane porusza się — i to już dosłownie — w przerwach między jedną a drugą partyjką pokera, ale tylko poto, by wywołać jaki kalambur i lawiną śmiechu zadusić wszelką próbę dalszych roztrząsań. Gospodarz domu, otoczony przez samych tylko przyjaciół i wielbicieli, ale bynajmniej nie przez uczniów, nie różni się z nikim w poglądach, nie ubiega się o to, żeby być czymkolwiek przewodnikiem czy nauczycielem, nie pozwala na żadne ścieranie się poglądów, nie daje okazji do nieporozumień i niesnasek, nie pomija żadnego ze swych gości. Jego salon zawsze jest otwarty, zawsze pełny; Suris nie zadaje sobie trudu, by go zamykać. Kto choć raz o tem się przekonał, kto zaznał rozkoszy tego przybytku, kto śmiał się tutaj z całego serca, zapominając na chwilę o swoich poglądach, mądrości i sztuce, ten przychodzić tu będzie niejednokrotnie, jako wierny przyjaciel Surisa, zwolennik radości i wypoczynku.

Już z samego wyglądu salon Surisa jest czemś jedynym i wyjątkowym w Atenach. Albowiem tam jedynie przebywa we własnej osobie Imię pan Suris i «Romejczyk»¹ i filozof Fasulis².

DYMISTR NIKOLÓPULOS

(współcz.)

JAK JORGOS OKPIŁ ŚWIĘTEGO

— Święty Janie, patronie mój, przybądź mi na ratunek! Już nie wytrzymam dłużej! Oto nadchodzi Wielkanoc, i bez Twojej pomocy nijak sobie nie dam rady... Nie

¹ Grek, posługujący się mową ludową. Ten tytuł miało pismo satyryczne, wydawane przez Surisa.

² Pseudonim Jerzego Surisa, znanego poety-satyryka nowogreckiego (ur. 1853).

będę miał ani nowego ubrania, ani nowych butów! I dzieciom niczego nie będę mógł sprawić. A skąd wziąć pieniędzy na pisanki? Wszyscy moi sąsiedzi będą mieli jagnię na Wielkanoc, a mnie nie dostanie się ani kawaleczek! Biedny ja, nieszczęśliwy! Nigdy Ci się jeszcze nie naprzykrzałem, nigdy Cię nie prosiłem o żadną łaskę. Po raz pierwszy dopiero uciekam się pod Twą opiekę. Mam nadzieję, że nie odmówisz mi pomocy w tem ciężkiem położeniu.

Tak modlił się Jorgos, klęcząc przed ikoną św. Jana w wiejskim kościele.

Wybił czołem kilka pokłonów i ciągnął dalej, pełen ufności i skruchy.

— Święty Janie, patronie mój, muszę Ci teraz wyznać, na jaką intencję modlę się do Ciebie: pomóż mi ukraść siwka Stefosa! Wyprowadzę go na jarmark do sąsiedniej wioski, a potem podzielimy się pieniędzmi. Oddam połowę swojego zysku na pozłocenie Twojej świętej ikony, a za drugą połowę nakupię rodzinie wszystkiego, czego potrzeba. Widzisz, mój Święty, jaki jestem sprawiedliwy! Ale i Ty nie odmawiaj mi Swej pomocy!

To powiedziawszy, Jorgos zamilkł. Wybił znów kilka pokłonów, zapalił świecę i, zabierając się do odejścia, dodał cichym głosem:

— Święty Janie, patronie mój, daruj mi, że Ci się naprzykrzam. Daruj mi, że wyznałem Ci swe strapienia. Spraw, żeby mi się udało dostać w swe ręce siwka Stefosa, a zobaczysz, jak pięknie Ci pozłocę ikonę! Będziesz miał się czem pochwalić przed innymi świętymi w Raju.

Przeżegnał się, upadł na kolana przed wizerunkiem Najświętszej Panienki i wyszedł z kościoła, zadowolony z siebie i pełen nadziei.

Z zapadnięciem nocy ruszył w stronę zagrody Stefosa. Postać jego gubiła się w ciemnościach, a gwałtowny wicher, wstrząsający z łoskotem drzewami, tłumił odgłos jego ciężkich butów. Jorgos przeskoczył ogrodzenie, wszedł do stajni, pochwycił siwka i, otworzywszy od wewnątrz pocichutku bramę, zaprowadził do siebie upragnioną zdobycz.

Uwiązał konia na środku podwórza i przy świetle latarki pociągnął starannie czarnym pokostem zad zwierzęcia.

— Z temi plamami — mówił do siebie — nikt nie pozna konia Stefosa. Mogę pójść całkiem spokojnie na jarmark. Choćby przyszedł tam sam Stefos, nigdy nie pomysli, że to jego koń.

Po ukończeniu tej czynności cofnął się kilka kroków i, podziwiając konia zdaleka, wykrzyknął:

— Święty Janie, opiekunie mój, bądź pochwalone imię Twoje za pomoc, jakiej doznałem od Ciebie!

Podczas gdy pokost wysychał, Jorgos usiadł przy stoliku, zapalił lampę i zaczął pykać fajkę, rozprawiając sam z sobą. Ale w miarę jak rozmyślał, uświadamiał sobie coraz bardziej, że niedobrze obliczył się z pieniędzmi, które uzyska za konia. Tyle na ubranie, tyle na buty, tyle na jagnię... a połowa dla Świętego! Napróżno zaokrąglął całą kwotę, napróżno wykręcał na wszystkie strony swe rachunki: druga połowa w żaden sposób nie wystarczała na potrzebne zakupy...

Wreszcie, doprowadzony do pasji, uderzył z całej siły pięścią w stół.

— Naprawdę byłem głupi, że obiecałem połowę! To za dużo, o wiele za dużo. Ja tracę na tym interesie! Trzeba było powiedzieć: połowę połowy, albo nie... połowę połowy połowy. Takby było lepiej! Tyle na ubranie, tyle na buty, tyle na jagnię... i tyle dla św. Jana, mego patrona! I to jeszcze jestem bardzo hojny! Bo ostatecznie to ja załatwiłem całą sprawę... i do tego w taką psią pogodę!... A św. Jan co zrobił? Pomógł mi — tyle wszystkiego! A zresztą... czy ja wiem? Ja go nie widziałem! Ci święci są wszyscy jednacy. Jeżeli mnie nakryją żandarmi, to zamkną mnie, a nie jego!

Jorgos westchnął, bardzo niezadowolony, nabił znowu tytoniu do fajki i, wypuściwszy kłąb dymu, dodał pocichu:

— Trudno, słowo się rzekło. Skoro mu obiecałem połowę, to muszę mu dać połowę. Kiedy się daje słowo, trzeba go dotrzymać. Bo jeśli kiedyś znowu się znajdę w potrzebie, żaden święty nie będzie chciał mi pomóc.

Powziąwszy to postanowienie, wyszedł na podwórze, upewnił się, że koń wysechł, wobec czego wybrał się zaraz na jarmark.

Wiatr już ucichł, niebo się wyjaśniło i błyszczało gwiazdami. Prawdziwa przyjemność odbywać dłuższą drogę piechotą przy takim miłym chłodzie. Było tego pięć czy sześć godzin, ale cóż to jest dla człowieka, który ma czyste sumienie?

Kiedy zaczęło się rozwidniać, Jorgos postanowił trochę odpocząć. Konia przywiązał do drzewa, a sam usiadł na szkarpie i zapalił fajkę. Opanowało go dziwne zdenerwowanie. Niezawsze jest wygodnie dotrzymać słów!

Wpobliżu dało się słyszeć pianie koguta.

Jego przenikliwy i kpiący głos poderwał Jorgosa. Skoczył na równe nogi i, rozglądając się w półmroku wstającego dnia, zobaczył dach chłopskiego domu: pianie koguta rozległo się ponownie. Skoczyć przez płot, pobiec za krzykliwym ptakiem, złapać go — było dziełem jednej chwili. Pełen radości, Jorgos powraca do swego konia, odwiązuje go od drzewa i rusza w dalszą drogę, trzymając w jednej ręce końską uzdę, a w drugiej za lapy — koguta.

W pół godziny później spotkał na drodze jakiegoś wieśniaka.

— Dzieńdobry! A dokąd to tak wczesnie?

— Dzieńdobry! Ja idę na jarmark. A ty dokąd prowadzisz tego konia?

— Ja też idę na jarmark sprzedawać koguta i konia.

— Ile za konia?

— Sprzedaję go razem z kogutem.

— Ale ja chcę kupić tylko konia. Mam dosyć kur i kogutów w domu. Nie jest mi na nic potrzebny.

— Bardzo mi przykro — oświadczył Jorgos. — Kupisz konia razem z kogutem albo nic. Widzisz, oba stworzenia tak się zżyły z sobą, że nie mam serca sprzedawać ich osobno.

— No więc dobrze. Ile chcesz za oba?

— Sześćset drachm — odparł zdecydowanie Jorgos. — Pięćset dziewięćdziesiąt za koguta i dziesięć za konia.

— Panie Miłosierny! — zawołał chłop. — Oszalałeś, człowieku! Chybaś się omylił i powiedziałeś jedno zamiast drugiego: pięćset dziewięćdziesiąt drachm za konia i dziesięć za koguta.

— Wcale nie oszalałem! Jestem mądrzejszy od ciebie. Powtarzam ci: chcę pięćset dziewięćdziesiąt drachm za koguta i dziesięć za konia.

— Ostatecznie co mnie to obchodzi? Dla mnie to wychodzi na jedno. Masz tu sześćset drachm; żeby twój kogut był ze złota, toby i wtedy tyle nie wartał.

Jorgos włożył pieniądze do kieszeni, oddał chłopu konia i koguta i wsiadł na pocztę, aby wrócić do swych penatów. Przyjechawszy do wsi, obszedł wszystkie sklepy celem poczynienia zakupów na święta: nabył nowe ubranie, nowe buty, jagnię, farbę do jajek i mnóstwo innych rzeczy pożytecznych i miłych.

O zachodzie słońca poszedł do kościoła: zapalił świecę, ukląkł przed ikoną Świętego i z oczyma wilgotnemi z radości i skruchy przemówił:

— Święty Janie, patronie mój, przy Twej świętej pomocy ukradłem konia Stefosa. Jestem uczciwym człowiekiem i dotrzymuję swych obietnic. Oto: sprzedałem konia za dwa talary; jeden dla Ciebie, drugi dla mnie. Pojmujesz, że jeden talar nie wystarczy na pozłocenie Twej ikony. Ale to nie ma nic do rzeczy. Najważniejsze, że dotrzymałem słowa.

Mówiąc to, Jorgos uderzył czołem przed Świętym, rzucił talara do puszeki i zadowolony z siebie wyszedł z kościoła.

Tłum. Kazimierz Bulas.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.